

Pewnej zimy, między katolickim Bożym Narodzeniem, a jego prawosławnym odpowiednikiem, Popowicz Wania wybrał się w podróż do guberni wileńskiej. Nie powstrzymał go, przed podróżą, ani siarczysty mróz, ani śnieg który pokrył całą krainę w nieznanej, nawet tu, obfitości. Nawet opowieści parafian, o wilkach grasujących po zmroku w wielkich gromadach, nie dały rady powstrzymać Popowicza Wani. Bowiem ufny w miłosierdzie boskie, Panu Bogu powierzył swą podróż i ruszył w trasę.

Szczęśliwie dojechawszy na miejsce, z wielką radością został powitany, przez starego przyjaciela, Jerzego Wilkowieckiego, prywatnie proboszcza tutejszej niewielkiej parafii. Gospodarz, czyli ksiądz Jerzy, człowiek niezwykle przyjacielski, uradowany dawno niewidzianym znajomym, a do tego rodakiem, bowiem trzeba dodać, że on i Wania byli rodem z Mińska, wyprawił hucznego Sylwestra, by godnie pożegnać stary rok, a zarazem powitać nowy i Popowicza Wanię.

Dzięki temu Wania poznał prawie wszystkich Polaków zamieszkujących parafię proboszcza jak i też paru Żydów, z którymi się ksiądz Jerzy przyjaźnił. Bowiem trzeba wiedzieć, że parafia księdza Jerzego była jedną z najbardziej polskich w guberni i dzięki temu Popowicz Wania przypomniał sobie język matuli już mocno zruszczony.

W Sylwestra bawiono się więc na całego w domu parafialnym. I podczas tejże zabawy, ksiądz Jerzy zwrócił się do Wani tymi oto słowami:

- Pamiętasz Waniulka, jak za młodych lat z twoim ojcem chodziliśmy polować na zajęce?
- A jakże Jerzyku – odparł zadowolony Wania.
- Bo wiesz, pomyślałem, że może też byśmy się wybrali na jakieś polowanie. Bowiem, jak w drodze pewnie zauważyłeś, moja parafia leży wśród nieprzebytych lasów i borów gdzie zwierza pełno. I choć wiem, że za bardzo nie lubisz polować to jednak składam taką propozycję byśmy za parę dni udali się na łowy we dwójkę – po czym zamilkł i intensywnie patrzył w oblicze Wani.
- Mój drogi Jerzyku – odrzekł po chwili Wania – Z radością pójde z starym przyjacielem na łowy. Bo choć słusznie zauważyłeś, że nie mam zamiłowania do strzelania do zwierząt, a dodam, że w ostatnich latach jeszcze ono bardziej osłabło, to dla ciebie zrobię wyjątek i nawet sam ustrzelę jakiegoś zająca lub lisa.

Na te słowa pojaśniała twarz proboszcza i obłapiwszy przyjaciela rzekł:

- A więc zgoda bracie. Po nowym roku jedziemy na łów.
- Dobrze, ale teraz mnie puść bo udusisz – a gdy uścisk zelżał dodał – Ale pamiętaj byśmy się udali przed prawosławną Wigilią i Bożym Narodzeniem. Nie chcę mieć grzechu w tak ważny dzień.
- Będzie jak rzekłeś Wanu – odrzekł ksiądz Jerzy.

I tak oto dwaj przyjaciele zmówili się na noworoczne polowanie na zwierza.

Drugiego dnia, nowego roku, dwaj przyjaciele obudzili się skoro świt. Dzień zapowiadał się wprost idealny. Mimo siarczystego mrozu świeciło jasno żółte słońce. Uznali przeto, że dzień jest wprost wymarzony na polowanie. Ubrali się przeto i zeszli do kuchni na śniadanie.

Obfite śniadanie, serwowane im przez gospozię, a zarazem ciotkę proboszcza, przeciągnęło się znacznie w czasie. Przez to Wania i Jerzy opuścili zabudowania parafialne dopiero w południe i na saniach zaprzężonych w dwa rącze konie udali się w bory by polować.

Ile na polowaniu czasu stracili? Trudno rzec, w każdym razie łów był obfity. Ksiądz Jerzy, ze swej dubeltówki, ustrzelił 3 lisy, 5 zajęcy i 6 cietrzewi. Sam Wania miał na koncie 2 lisy i jednego zająca.

Mrok już zapadał gdy nasi przyjaciele, stojąc na ogromnej polanie wśród borów sosnowych, ładowali na sanie swoją zdobycz i gdy już mieli wejść na nie i odjechać ku domowi do uszu ich dobiegł dźwięk który przyprawił ich o ciarki na plecach.

Obydwaj odwrócili się i skierowali oczy ku najbliższej partii lasu. Jeszcze przez chwilę, tliła się w nich nadzieja, że był to odosobniony odgłos wydany przez pojedyncze zwierzę. Życie szybko rozproszyło tę nadzieję, bowiem z lasu zaczęły dochodzić kolejne podobne dźwięki.

Ksiądz Jerzy i Wania nie mieli już żadnych wątpliwości, w pobliżu znajdowała się dość spora wataha wygłodniałych wilków, które musiały zwęszyć zapach krwi z ustrzelonych zwierząt. Niewiele myśląc, obaj, wskoczyli na sanie, Jerzy na kozioł, Wania na tył i zacinając konie batem pognali do wsi. W tej samej chwili, gdy sanie oderwały się od ziemi i ruszyły przed siebie, z lasu wypadła masa, czarnych jak noc, czteronożnych stworzeń. Nie zatrzymując się, nawet na chwilę, popędziły za uciekającymi ze skowytem. Najwidoczniej już wcześniej zwietrzyły zapach swojej zdobyczy.

Ksiądz Jerzy, mocno zacinał konie batem by przyspieszyć ich bieg. Nie było to jednak potrzebne. Biedne zwierzęta także zwietrzyły już zagrożenie, czające się za nimi i gnały ile sił w nogach byle tylko ująć grożącemu niebezpieczeństwu.

Konie, a wraz z nimi sanie, toczyły się przez polanę uchodząc przed żadnymi krwi bestiami. Za nimi podążała głodna wataha, cały czas się zbliżając. Pojazd podskakiwały na każdej nierówności, skrywanej przez śnieg, a wraz z nimi pasażerowie, nic sobie jednak nie robiący z tego powodu.

W pewnym momencie traf, albo diabeł, chciał, że sanie najechały na większą muldę ukrytą pod śniegiem. W wyniku tego mocno podskoczyły do góry i wraz z nimi Popowicz Wania, który nie dał rady się utrzymać w pojeździe. Przeleciał w powietrzu z metr i wylądował w głębokim śniegu tuż przed watahą, która jakimś cudem ominęła nieszczęśnika i pognąła za pojazdem.

Po chwilowym szoku, nie dłuższym niż kichnięcie, Popowicz Wania wygramolił się ze śnieżnej zasy, która nota bene uratowała go od jakichkolwiek potłuczeń, i taki ujrzał widok: Oddalające się sanie z księdzem Jerzym oraz tumany białego pyłu, a właściwie niewyraźną oddalającą się ciemną plamę z białym ogonem świetnie widoczną na tle ciemniejszego boru oraz stado czarnych wilków które patrzyło w jego kierunku.

Bestie ogarnięte rządzą krwi, choć początkowo pominęły nieszczęśnika, szybko wyczuły, że trafia im się dogodniejsza ofiara niż uciekające sanie. I w tym momencie, pewne sukcesu, powoli zbliżały się do Popowicza Wani. Ten niewiele myśląc, rzucił okiem w około i widząc dużą, samotną sosnę, chyżo ruszył w jej kierunku po głębokim śniegu.

Gnał go taki strach, że nie tylko pokonał dzielący go od drzewa dystans szybciej niż wilki, ale też zdążył się wdrapać na sam czubek sosny nim bestie dopadły drzewa. Jakim cudem to się stało? Tego nawet sam Popowicz Wania nigdy nie umiał wyjaśnić.

Wdrapawszy się na sam czubek, oburącz chwycił się drzewa i z przestachem spojrział w dół. Na tle białej pokrywy odbijało się od dziesięciu do piętnastu ciemnych, jak noc, postaci. Krążyły one w około drzewa, raz po raz spoglądając ku górze, gdzie siedziała ich ofiara.

- Idźcie precz, piekielne istot – zakrzyknął Wania – Zostawcie mnie w spokoju – dodał już ciszej. Mróz szybko zaczął mu doskwierać. Z każdą chwilą zimno powiększało władzę nad jego członkami. Powoli ogarniała go coraz większa senność. Na skutek utraty ciepła umysł robił się coraz bardziej otępiały. W walce z zimnem nie pomagało grube, ciepłe okrycie. Jedyne ratunek jaki mógł dojrzeć Wania w swym położeniu był u Niego. Przeto nie dziwią słowa jakie popłynęły z jego ust.

- O Panie miej nad swym marnotrawnym synem litość. Czymże mogłem zgrzeszyć, żeś mnie tak pokałał. Przecie pozwalasz jadać stworzenia żywe maluczkim, a i polować nie zabraniasz. Czyżbym, aż tak złym był popem? – tak właśnie, próbując się ratować przed pogrążeniem się w nieświadomość, modlił się do Pana Boga Popowicz Wania. I gdy to robił zdało mu się, że słyszy jakiś wrogi, odrażający i zły głos mówiący:

- *Za późno na modlitwy popie.*

- Kto to powiedział? – wykrzyknął Wania, obudzony nagle w jednej chwili z odrętwienia. Gdy niczego nowego nie usłyszał, zaczął podejrzewać, że już nie umie odróżnić snu od jawy i śmierć już bliska jest. Nie żeby Wania bał się śmierci. Jako dobry chrześcijanin i sługa Pański wiedział, że jest nieuchronna, ale też jak przystało na człowieka, chodź wiedział, że to grzech, chwycił się życia najmocniej jak umiał. I gdy dochodził do przekonania, że umysł jego płata mu figle ponownie usłyszał ten sam głos:

- *Za późno popie. Już do nas należysz.*

- Kto to mówi? – rzekł Wania, mocno przestraszony, jeśli dało się być bardziej wystraszonym niż Wania w tym momencie, oglądając się na wszystkie strony wokół siebie. Był teraz pewny, że nie stracił świadomości i umysł jego działa jak należy – Pokaż się w Imię Boże.

- *Boga nie wzywaj. Nie pomoże ci popie Waniu.*

- Kim jesteś? Skąd znasz moje imię? Miej odwagę ukazać się.

- *Spójrz na dół popie* – odrzekł inny, choć tak samo wrogi, głos na to.

Po tych słowach wzrok Popowicza Wani skierował się na ziemię. I to co zobaczył spowodowało, że włosy pod papachą, stanęły mu dęba. Wilki, z głowami skierowanymi ku górze, zasiadły w kółko otaczając sosnę kordonem. Niczym wokół ogromnego ogniska lub stołu. Z ich strasznych ślepi buchała

ogromna nienawiść w kierunku przerażonego człowieka. Raz po raz jeden z nich oblizywał się ze smakiem na widok ofiary. Na ten widok z ust Wani wydobył się stłumiony dźwięk który miał znaczyć:

- Co to za diabelne sztuczki?

- *Hi, hi, hi, hi, hi* – odpowiedziały mu wilki.

- Święci Pańscy! Boże ratuj! – zawył Wania.

- *Nie pomoże ci. Popowiczu Waniu, do nas należysz.*

- Bóg jest od was potężniejszy. Demony!

- *Nie w mroku. Noc do nas należy. Synowie mroku teraz rządzą. Póki księżyc jasny na niebie ty jesteś nasz.*

- *Nasz, nasz, nasz* – dodały kolejne głosy.

- Nie! – krzyknął przerażony Wania.

- *Tak, tak, tak. Hi, hi, hi* – odpowiedziały mu wilki. Po czym rozległ się z ich paszcz, mrozący krew w żyłach, śpiew, przerywany złowrogimi śmiechami i chichotami. Popowicz Wania ze wszystkich sił przycisnął się do sosny i za wszelką cenę, powtarzając modlitwy do Boga, Jego Matki i wszystkich świętych, starał się nie słuchać wilczego skowytu.

Mróz robił jednak swoje i powoli opadał z sił. Wilki z coraz radośniejszym nawoływaniem śpiewały swoją pieśń. I trwało to długo, choć trudno powiedzieć jak długo. Aż w końcu Popowicz Wania nie wiedział już czy to sen czy jawa. Zaczął się pogrążyć w mroku i nie wiedział już czy jest na drzewie czy leci gdzieś na skrzydłach oraz czy te wybuchy co słyszy to prawda czy zwodnicze omamy osłabionego umysłu.

W ostatnim przeblýsku świadomości zdało mu się, że słyszy swojego dobrego przyjaciela księdza Jerzego i widzi jego i jakiś innych ludzi. Po tym widział już tylko ciemność.

&

Pierwszą rzeczą po przebudzeniu, jaką ujrzał Popowicz Wania była zapłakana twarz człowiecza. Minęła dobra chwila nim zorientował się, że twarz ta należy do gosposi Teresy, jak wiemy ciotki księdza Jerzego. Kolejne chwile minęły, gdy zorientował się, że niewiasta ta nie tylko płacze, ale też coś mówi. Znowu upłynęło trochę czasu, a może i nie bowiem umysł Wani ciągle był ociężały i nie umiał powiedzieć czy to co się działo to była przelotna chwila czy też nie, gdy zrozumiał dźwięki wydobywające się z ust gosposi:

- Chwała Przenajświętszej Pani. Żyjesz dziecinko. Żyjesz! Naprawdę żyjesz! – po czym zerwała się i wybiegła z pomieszczenia obwieszczając innym tą radosną nowinę.

Nim jednak nowina obiegła wszystkich znajdujących się w domu i zdążyła do Wani wrócić, zorientował się, że znajduje się w znanym sobie pokoju i łóżku w którym ulokował go przyjaciel Jerzy. I w tej samej

chwili, gdy dokonał tego odkrycia, do pokoju wtoczył się tłum ludzi z Jerzym na czele.

Wielka radość zapanowała na obliczach gości. Wśród zgromadzonych, rozpoznał Wania parafian Jerzego którzy byli na Sylwestrze. I od nich dowiedział się co wydarzyło się po jego upadku z sań i odjechaniu Jerzego ku wsi. A wyglądało to tak:

Gdy ksiądz Jerzy wreszcie dotarł, do swojego probostwa, z wielkim przerażeniem odkrył, że jego towarzysz zniknął. Natychmiast zaalarmował społeczność całej wsi i zebrawszy ludzi ruszył w powrotną drogę, modląc się w duszy by przyjaciel jeszcze żył. Bóg najwidoczniej wysłuchał modłów swego sługi, bowiem przybyli w tym samym momencie gdy Popowicz Wania spadał z drzewa. Bez problemu odpędzili wilki z pod drzewa, kładąc trupem cztery z nich i zauważywszy, że Wania ciągle dycha załadowali go na sanie, okryli skórą i popędzili do domu.

- Wszystko to ładnie – odrzekł na to Wania – Ale rzeknijcie mi jak to się stało żem przeżył upadek z drzewa?

- Szczęśliwie dla was była tam kupa śniegu którą najwidoczniej zawiał wiatr – odrzekł sołtys wsi.

- Śnieg utworzył sporą górkę, miękkiego, puszystego puchu na który spadliście Waniu i dzięki temu nic wam się nie stało – dorzucił ksiądz Jerzy.

- Chwała Panu! – dodała gosposia Tereska.

- Chwała Mu! – gromkim głosem powtórzyli obecni wraz z Wanią.

Przyszło jeszcze kilka dni, Popowiczowi Wani, poleżeć w łóżku u swego przyjaciela. Święta Bożego Narodzenia, w asyście Jerzego, gosposi Teresy i całej parafii, także musiał w nim spędzić i dopiero po nich, uprzednio odzyskawszy wszystkie siły był zdolny powrócić, ku smutkowi mieszkańców których polubił i vice versa, do domu.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

100mk, dodano 20.10.2017 11:00

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.